PRZEGLĄD MYŚLIWSKI

Dwutygodnik łowiecki pod redakcją JULJANA EJSMONDA.

1923 r. MARZEC № 4.

Redakcja i Administracja: „Kurjer Polski" Szpitalna 12.

MOTTO: W przyszłej Polsce, gdy przyjdzie do ładu, zajęcia ludzkie odwieczne i chwalebne powinny być na swoich miejscach. Gdy nawet duch czasu i reform wprowadzi w nasz obyczaj codzienny wiele nowych zajęć, ufam, że nie wyprze z życia zabaw tak przyjemnych i kształcących duszę, jak myśliwstwo.

JÓZEF WEYSSENHOFF.

SKARGA ZWIERZYNY.

(Bajka myśliwska)

Skarżył się biedny Szarak na kochane kmiotki:
„Choć już niby to nastał czas ochrony słodki,
nieprzestrzegając prawa chytre kłusowniki
po dawnemu stawiają sidła oraz wnyki."
Chciałem go uspokoić: „Sejm uchwali prawa
i wszystko unormuje łowiecka ustawa."
Przerwał: „Wierzę, że kiedyś dobry los zwierzynę
weźmie w swoją opiekę, lecz ja — przedtem zginę!...
Proszę cię, mój kochany Juljanie Ejsmondzie,
opisz naszą rozmowę w „Myśliwskim Przeglądzie."

JULJAN EJSMOND.

Kronika myśliwska.

Z Polesia.

Wywiązując się z danego przyrzeczenia, przesyłam do „Przeglądu Myśliwskiego" garść szczegółów z ostatniego polowania kółkowego T-wa Poleskiego, na którem zabiłem pierwszego mego rysia w nadleśnictwie Wiadotupickiem.

Wobec alarmujących depesz p. Lenkiewicza, znanego nemroda, a obecnie łowczego naszego T-wa, o szalonych szkodach wyrządzanych w zwierzostanach przez rysie i wilki, dnia 20 b. m. wyruszyliśmy z Warszawy o godz. 8 wieczór w dziewięć strzelb pod przewodnictwem prezesa Towarzystwa, p. Stanisława Lilpopa, do stacji Domaszewa, gdzie przybyliśmy następnego dnia o g. 7 rano. Na stacji czekały na nas furmanki, któremi po trzygodzinnej jeździe dotarliśmy do kniei. Pogoda była cudna, słoneczna przy 10 stopniowym mrozie, bez wiatru.

Pierwsze dwa mioty dały rezultaty małe, bo dwa odyńce przerwały nagankę, wilków ani śladu, a kozłów już nie strzelaliśmy. Padł tylko 1 warchlak stufuntowy. Zato trzeci miot dał wszystkim dużo wrażeń, bo przed linją strzelców przedefilowały 3 łosie, puszczone, ma się rozumieć, bez strzału i dwa stada dzików, łącznie 17 sztuk, z których padło 5 i 1 postrzałek.

Cały teren, to moczary nie do przebycia w innej porze roku, z kępami drzew chorowitych. Są jednak między temi błotami ostępy, które dają zdumionemu oku niewypowiedzianą roskosz podziwiania mateczników wprost wymarzonych. Wróciliśmy do naszego domku myśliwskiego około 9 wieczorem, po przebyciu przeszło 30 wiorst na trzęsących wozach. O 11 wieczorem, po zjedzeniu smacznego obiadu byliśmy już w łóżkach, zważywszy, że p. Lilpop zapowiedział nam wyjazd do kniei nazajutrz na 7 rano.

W drugim dniu opolowaliśmy okrąg Zybki. W pierwszym miocie padł warchlak i odyniec od celnej kuli p. Rolanda. W drugim zaś — mój pierwszy ryś. Wyciągnąłem Nr. 1 stanowiska. Przedemną był niezwykle zwarty zagajnik 2½ kilometrowej głębokości, przez który miało być pędzenie. Szerokość zagajnika około 1 kilometra.

Na szerokości tej byli rozstawieni myśliwi, mając za sobą wysoki las. Boki miotu na długości około 500 metrów były obstawione sznurami. Po trąbce, gdy naganka ruszyła, widzę, że jakiś zwierz [illegible] z miotu, lecz zobaczywszy sznury, cofnął się do zagajnika. Z powodu oddalenia nie mogłem rozróżnić co to było. Miałem się jednak na baczności, wpatrując się w ukośnie idącą haliznę na przestrzeń kilkudziesięciu kroków odemnie, szerokości około 1 — 2 łokci. Rozumowałem, że jeżeli zwierz mnie sądzony, to przez nią przejść musi.

Przypuszczenie moje prędko się ziściło. Coś zamajaczyło w gęstwinie i ryś jednym susem chciał przesadzić otwarte miejsce. W tym momencie strzałem z przyrzutu udało mi się dosięgnąć go w komorę.

Strzelałem kulą rozkwitającą ze sztucera Nowotnego kaliber 50. Kula pod łopatkami przeszła na wylot. Zwierz zrobił kozła w powietrzu i padł na miejscu. Miał jednak siłę podnieść się na przednich łapach i rozwarlszy paszczę, patrzył na mnie z dziką wściekłością.

Trwało to jednak krótką chwilę, kilka skurczów i legł nieruchomy. Strzał był blizki — na 40 kroków.

Pan Lenkiewicz który zabił w życiu już 8 rysi, twierdzi, że jest to okaz niezwykle wielki i piękny, liczący około 7—8 lat. Waga 78 funtów. Długość 193 cm. Potężne łapy (19 cm. w obwodzie stopy) o długich i niezwykle ostrych szponach (3 cm. długości). Śpiczaste uszy zakończone pędzelkami. Gruby i muskularny kark (35 cm. obwodu), krótki ogon, puszysty włos, podobny kolorem do zająca z centkami na nogach i bokach, długie bokobrody, jak u tygrysa — oto obraz mego rysia.

Jak mi mówił p. Lenkiewicz, źródło wszystkich wiadomości o tym tygrysie polskim, między rysiami jest niezwykle mały procent samców, znacznię większych i ładniejszych od samic, to też przyznał mi, że z 8 samic przez siebie zabitych w długiej swej karjerze łowieckiej — tak dużego i pięknego okazu jeszcze nie spotkał.

Radość straży leśnej była wielka, że nareszcie padł ten tępiciel sarn, dzików i głuszców.

Niestety zostało ich jeszcze kilka sztuk w naszych ostępach, lecz znacznie mniejszych już; życzę więc kolegom moim z całego serca, aby do liczby swych trofeów mogli je jaknajprędzej zaliczyć.

Tegoż dnia udało mi się zabić lisa—błotniaka z czarnemi nóżkami i czarnemi uszami.

Józef Bleszyński.

NA WILKA

Pierwsze rumiane blaski porannej zorzy wpadły przez serce wykrojone w okiennicy i zbudziły mnie ze snu.

Wkrótce zapukał ktoś w okiennicę i w różanym otworze ukazała się nie twarz Zosi Mickiewiczowskiej, która w podobny sposób budziła Tadeusza, ani też mojej Hani, ale wąsata twarz Wacha, leśniczego, a gruby głos zawołał:

— Paniczu!

— A co tam?

Wilki gonią za wilczycą w Pohorowych haszczach. Mieliśmy iść na wabia.

— Zaraz!

Ubrałem się, wziąłem strzelbę, nóż myśliwski i wyszedłem. Wach stał cały mokry od rosy porannej, z długą zardzewiałą pojedynką na plecach, z której jednak nie zdarzyło mu się nigdy chybić.

Ranek był wczesny: słońce jeszcze nie wzeszło, ani ludzie nie wyszli do roboty, ani bydło w pole. Niebo tylko barwiło się błękitnie, różowo i złociście na wschodzie, a na zachodzie było szarawe. Swoją drogą staremu było pilno.

— Mam bidę i szkapę. Pojedziemy ku wykrotom — rzekł.

Siedliśmy i pojechali. Zaraz za stodołami zając wyskoczył z owsa i przebiegłszy nam drogę, skoczył na łąkę znacząc ciemniejszemi ślady srebrną od rosy jej powierzchnię. Stary rzekł:

— Kot przez drogę! Na psa urok!

A potem dodał:

— Późno już. Niezadługo ziemia cień chwyci.

Znaczyło to, że niezadługo słońce zejdzie, bo przy blasku zorzy ciało nie rzuca cienia na ziemię.

— A to przy cieniu źle? — spytałem.

— O wielkim to tam jako tako, ale o małym próżna robota.

W języku myśliwskim znaczyło to: im później tem gorzej, bo wiadomo, że im bliżej południa, tem cień mniejszy.

— Odkąd poczniemy? — spytałem.

— Od wykrotów, ale w samych Pohorowych haszczach.

Pohorowe haszcze była to część lasu nadzwyczaj zarosła, gdzie znajdowały się wykroty, to jest jamy pod korzeniami starych drzew, wywróconych przez burzę.

— I na wabia myślicie, Wachu, że się uda?

— Poczną grać jak basiora, może jaki basiór wyjdzie.

— A może i nie.

— E! taki wyjdzie.

Dojechawszy do chaty Wacha, zostawiliśmy konia i bidę chłopcu, sami zaś udaliśmy się piechotą. Po półgodzinnej drodze, kiedy słońce zaczęło wschodzić, zasiedliśmy w wykrotach.

Koło nas naokół była gęstwa nieprzebita drobnych zarośli; gdzieniegdzie rosły tylko wielkie drzewa, wykrot zaś był tak głęboki, że schowaliśmy się weń z głowami.

— Teraz plecami! — mruknął Wach.

Usiedliśmy do siebie plecami, tak, że nad powierzchnią gruntu wystawały nam tylko czubki głów i lufy strzelb.

— Czuj! — rzekł Wach. — Poczynam grać.

Włożywszy dwa palce w usta i modulując nimi przeciągły głos, Wach zagrał jak basiora, to jest zawył, jak wilczyca wabiąca wilków.

— Czuj!

I przyłożył ucho do ziemi.

Ja nie słyszałem nic, ale Wach oderwał twarz od ziemi i szepnął:

— Gra, ale daleko. Będzie pół mili.

Potem czekał z kwadrans i znów zawył, przebierając palcami w ustach. Żałosny a złowrogi głos przebił gęstwinę i daleko. daleko leciał po mokrej ziemi, odbijając się od sosny do sosny.

Wach nanowo przyłożył ucho do ziemi.

— Gra! jest niedalej niż półtorej wiorsty.

Jakoż rzeczywiście i ja usłyszałem teraz jakby odległe echo wycia, dalekie jeszcze bardzo, zaledwie dosłyszalne, ale dające się już wśród szelestu rozróżnić.

— Skąd wyjdzie? — spytałem.

— Na panicza.

Wach zawył trzeci raz: wycie odpowiedziało już blisko. Ścisnąłem mocniej strzelbę w ręku, a obaj zatamowaliśmy dech w piersiach. Cisza była niezmierna, wiatr tylko strząsał krople rosy z leszczyny, które spadały szemrząc po liściach. Zdaleka z innej strony lasu, doszło nas tokowanie głuszca.

Nagle o jakie trzysta kroków zamajaczyło coś w gęstwinie, krzaki jałowcowe poruszyły się żywo i z pośród ciemnych igieł wynurzyła się szara trójkątna głowa ze śpiczastemi uszami i czer-

wonemi oczyma. Strzelać nie mogłem, bo było jeszcze zbyt daleko, więc czekałem cierpliwie, lubo z bijącem sercem.

Wkrótce całe zwierzę wynurzyło się z jałowcu i w kilku niewielkich skokach podbiegło ku wykrotowi, wietrząc pilnie na wszystkie strony. Na sto pięćdziesiąt kroków wilk zatrzymał się i nadstawiwszy uszy, jakby coś przeczuł. Wiedziałem, że bliżej już nie podejdzie i pociągnąłem za cyngiel.

Huk strzału zmieszał się z bolesnem zaskowyczeniem basiora. Wyskoczyłem z wykrotu, Wach za mną, ale wilka nie znaleźliśmy na miejscu. Wach jednak obejrzał pilnie miejsce, gdzie rosa starta była na polance i rzekł:

— Farbuje!

Rzeczywiście na trawie były ślady krwi.

— Nie pudło, choć daleko! nie pudło, farbuje, o! farbuje trzeba za nim iść.

A więc poszliśmy. Gdzieniegdzie trafialiśmy na potłuczoną trawę i większe ślady krwi. Znać było, że ranne wilczysko od czasu do czasu wypoczywa. Ale tymczasem upłynęła godzina drogi po gąszczach i haszczach, potem druga. Słońce było już wysoko. Uszliśmy ogromny kawał drogi, nie znalazłszy nic prócz śladów, które zresztą czasem nikneły zupełnie. Potem trafiliśmy na kąt lasu: ślady szły ze dwie wiorsty, potem w kierunku stawu i wreszcie ginęły w błotach, porosłych trzciną i tatarakiem. Dalej nie można było iść bez psa.

— Już on tam zostanie, a ja jutro go znajdę — rzekł Wach i zawróciliśmy do domu.

Henryk Sienkiewicz.

Kryzys łowiectwa polskiego

Kilka szczerych słów

Jest rzeczą powszechnie uznaną, że w zakresie sportu pierwszeństwo oddać należy tym jego gałęziom, które, oprócz fizycznego rozwoju, mają na celu odpowiednią hodowlę, dzięki czemu przyczyniają się do podniesienia bogactwa i dobrobytu danego kraju.

Takiemi są sport konny i łowiectwo.

W obydwóch tych dziedzinach, dzięki należytemu i fachowemu ich traktowaniu, doszliśmy, pomimo trudnych warunków, do tak poważnych rezultatów, że mogliśmy śmiało i z dumą wytrzymać porównanie z potężniejszemi od nas, a przedewszystkiem niepodległemi, państwami.

Wiemy i pamiętamy o tem wszyscy.

Zastanówmy się teraz nad obecnym stanem rzeczy. Wojna, rujnując nasz kraj pod każdym względem, nietylko nie oszczędziła, lecz przeciwnie, może właśnie najdotkliwiej zniszczyła hodowlę koni i zwierzyny.

W oczach naszych zniweczony został rezultat długoletnich, pełnych poświęcenia zabiegów i starań.

Nic też dziwnego, że wielu, może nawet większość ludzi, nie znajduje sił, by mężnie przenieść te straty, nie może się zdobyć na powiedzenie sobie: Straciliśmy, więc musimy odzyskać i odzyskamy!

A jednak to zdanie, to hasło, choćby przez garstkę ludzi podjęte, m u s i z w y c i ę ż y ć i obowiązkiem jednostek jest rozpocząć dzieło, w którem pracowały i, zachęcone przykładem, pracować będą rzesze sprzymierzeńców.

Że nie są to puste frazesy, najlepszym dowodem posłuży działalność Głównego Zarządu Stad Państwa, oraz Towarzystwa Zachęty Hodowli Koni w Polsce.

Każdy dziś wie, że znakomity rozwój sportu konnego zawdzięczamy energji i ogromnej pracy ludzi, których żadne przeszkody ani trudności nie zdołały zniechęcić, i którzy, dzięki umiejętnemu ujęciu tej sprawy, potrafili zyskać z a u f a n i e i c o z a t e m i d z i e p o p a r c i e z e s t r o n y R z ą d u.

Krótko mówiąc, o los (niegdyś poważnie zagrożony) sportu konnego możemy być dzisiaj całkiem spokojni.

A w dziedzinie łowiectwa?

Można bez przesady powiedzieć, że jeśli stan, w jakim się ono u nas obecnie znajduje, nie ulegnie zmianie, to z czasem sam wyraz ten, jako oznaczający coś beznadziejnie pogrzebanego, zniknie powoli z mowy potocznej.

W tym samym okresie czasu, który, jak widzimy, wystarczył, by wskrzesić i rozwinąć hodowlę koni i oparty na niej sport, — w zakresie łowiectwa nie zrobiliśmy właściwie ani kroku naprzód.

I podczas gdy nasz sportsmen — jeździec może śmiało spojrzeć w oczy swym kolegom cudzoziemcom, myśliwy polski w danym wypadku po uszy chybaby się zarumienił.

Dość powiedzieć, że do dziś dnia nie posiadamy zatwierdzonej ustawy łowieckiej, któraby określała obowiązujące nas prawa i przepisy.

W miejscowościach, nie ustępujących niegdyś pod względem ilości zwierzyny znanym czeskim lub niemieckim rewirom myśliwskim, obecnie zając, a zwłaszcza kuropatwa są prawie rzadkością.

Kłusownictwo i sidlarstwo kwitną tak imponująco, że można jednego dnia w czasie przechadzki po lesie zebrać kolekcję z kilkudziesięciu sztuk wnyków.

Zaiste, śliczny obrazek w kulturalnem, europejskiem państwie, w dwudziestem stuleciu!

Ale my lubimy bardzo oryginalność, a od niekorzystnych dla nas porównań bronimy się znakomicie zasadą, że: „wolnoć Tomku w swoim domku!"

A jednak, pomimo, że wiedziałem, jak wielką popularnością cieszy się wśród nas powyższy argument i że wobec tego różne mogą wyniknąć niespodzianki, przecież trudno mi określić stopień zdziwienia i przygnębienia, jakiego doznałem po moim powrocie z Rosji (gdzie na emigracji spędziłem siedem ostatnich lat), gdym się naocznie przekonał o rozmiarach klęski, która naszą zwierzynę spotkała.

Przedewszystkiem uderzył mnie brak zorganizowanej, systematycznej akcji ratunkowej, jakiegokolwiek usiłowania na szerszą skalę, by zaprowadzić radykalną opiekę nad zwierzostanem—nic!

Nic, prócz pojedyńczych skarg, może starań i pełnych dobrej chęci kroków jednostek, tonących w ogólnej apatji, bierności i zniechęceniu, były głosem wołającego na puszczy,—w dosłownem znaczeniu.

Wierzę i wiem (nie mogłoby zresztą być inaczej), że są te jednostki w naszem gronie myśliwskiem, że pragną one z całej duszy więc swych sił, swej energji i pracy, by zapobieć, grożącej naszej zwierzynie, zagładzie — najwidoczniej jednak przeszkody, które napotkały one w swych usiłowaniach, są tak poważne, że obalić ich dotąd nie starczyło siły. Za tem, niestety, przemawia fakt, że trwamy wciąż w stanie obecnym.

A przecież zdawałoby się, że jedynem logicznem następstwem klęski, która z tych lub innych przyczyn spotkała nasz zwierzostan — powinno być energiczne i niezwłoczne podjęcie *ogólnej pracy*, by jaknajrychlej, choć oczywiście stopniowo, przywrócić dawną, a więc możebną świetność naszych terenów myśliwskich.

W pracy tej, którą wziąć na siebie jest obowiązkiem myśliwych — fachowców, powinien i musi ze względu na dobrobyt kraju dopomóc nam Rząd.

Wszak nie w braku inicjatywy poszczególnych jednostek, lecz w bierności ogółu, a zwłaszcza odpowiednich władz państwowych, tkwi główna przyczyna, że dotąd nic nie przedsięwzięto.

Mniemanie pesymistów (niejednokrotnie słyszałem to zdanie), utrzymujących, że sprawa łowiectwa jest raz na zawsze pogrzebana i że o ratunku mowy być nie może, jest nietylko śmiesznem i nieuzasadnionem, lecz wskazuje na kompletny brak woli lub na niedołęstwo tych, co je wypowiadają.

Wystarczy sięgnąć pamięcią w niedaleką przeszłość, a mianowicie w okres naszych lat dziecinnych, by stwierdzić, że w owym czasie (przynajmniej w znanej mi osobiście miejscowości) ilość zwierzyny niewiele się różniła od tej, jaką posiadamy obecnie, a jednak w ciągu kilku, najwyżej kilkunastu lat ilość ta wzrosła niemal dziesięciokrotnie dzięki troskliwej opiece i racjonalnej hodowli. Nie widzę przyczyn, któreby (przyjąwszy pod uwagę ówczesne warunki hodowli) uniemożliwiały analogiczny rozwój w dzisiejszych czasach.

Oczywiście po usunięciu kłusownictwa, — ale kłusownictwo nie należy do rzeczy, które wyplenić nie jest w mocy ludzkiej.

Jawny dowód tego widziałem w Rosji sowieckiej.

Już w roku 1920-m rząd Sowietów uprzytomnił sobie, że zwierzyna przedstawia zbyt wielką wartość dla kraju, aby można było los jej lekceważyć i pozwalać, by zbrodnicze ręce niszczyły ją i tępiły bezkarnie.

Rezultatem tego słusznego poglądu było, że powstał w Moskwie wszechrosyjski związek myśliwych,*) na czele którego stanęli ludzie wysoce kompetentni i fachowi (niektórzy nawet z nazwiskiem ogólnie znanem w dziedzinie łowiectwa i w związku z nim stojących nauk przyrodniczych). Nie dziw też, że gdy rząd, uznawszy ich za speców,**) oddał im całkowicie kierownictwo nad wszystkiem, co dotyczy łowiectwa — ukazała się niebawem bezwzględnie surowa, wprost drakońska, lecz w owym czasie niezbędna i doskonale zredagowana ustawa (którą osobiście zatwierdził i podpisał Lenin), wraz ze specjalnemi objaśnieniami dotyczącemi poszczególnych gubernji i okręgów.

Tak naprzykład, wyniszczony w czasie wojny (a zwłaszcza w okresie rewolucji) łoś cieszy się obecnie w Europejskiej Rosji całkowitą nietykalnością i tego, kto ośmieliłby się naruszyć to prawo—czeka sąd koleżeński***) (t. j. złożony z ludzi fachowych, a więc myśliwych), który pozbawia winowajcę prawa na posiadanie i używanie jakiejkolwiek broni palnej do końca życia, usuwa go raz na zawsze ze związku myśliwych, piętnuje w prasie myśliwskiej i wreszcie oznacza termin kary więziennej, który sąd państwowy w ogromnej większości wypadków aprobuje i wyrok niezwłocznie wykonywa. Podobne przyjemności czekają za zabicie głuszca (w miejscowości, gdzie polowanie nań jest czasowo zabronione, a takich jest wiele w zachodniej i centralnej Rosji), za tępienie błotnego i wodnego ptactwa w okresie lęgowym, słowem, niezależnie od rodzaju zwierzyny

---

*) (Wsierossijskij Sojuz Ochotnikow).

**) Sowiecki skrót słowa „specjalist" — fachowiec.

***) towariszczeskij disciplinarnyj sud.

każde wykroczenie przeciwko ustawie łowieckiej pociąga za sobą nieraz niezmiernie surową karę *) I proszę wierzyć, że, dzięki umiejętnemu postawieniu tej kwestji, ustawy i kary nie drażnią i nie gniewają lubiących swobodę „towarzyszy". Rozumieją oni, że myśliwy i kłusownik to pojęcia różne i sami bacznie śledzą się wzajemnie, a w razie przewinienia natychmiast o takowem donoszą zarządowi swego Związku, bez litości denuncjując winowajcę.

Wiem o tem wszystkiem dokładnie, bo sam w ostatnich latach byłem członkiem Wszechros. Związku Myśliwych i pracując przez dłuższy czas w zarządzie jednego z oddziałów tej organizacji, miałem możność bliskiego zapoznania się z jej celem i ze środkami, które wiodą ku niemu. Zasadniczym, podstawowym czynnikiem, dzięki któremu nieokiełznaną hordę kłusowników udało się w ciągu dwóch lat przerobić na mało coprawda uświadomionych, lecz mimo to karnych myśliwych — jest zaufanie, którem rząd obdarza, wybranych na kierowników, myśliwych i wszechstronne poparcie wydanych przez nich ustaw i przepisów. Pomyślne skutki tego systemu stają się coraz bardziej widoczne i obawiać się o przyszłość zwierzyny w Rosji niema bynajmniej potrzeby.

Jest to, jak już mówiłem, wynikiem zdania, do którego przyłączył się już przeszło dwa lata temu rząd sowiecki, że zwierzyna jest jednem z wielkich bogactw kraju, źródłem znacznego dochodu i niezmiernie ważnym przedmiotem handlu, wobec czego opieka nad nią leży bezwzględnie w interesach państwa.

Tak jest obecnie w Rosji sowieckiej.

U nas niestety odmienne panuje przekonanie.

Jesteśmy widocznie (w porównaniu z Rosją i z innemi państwami) tak bogaci, że nie dbamy i dbać nie potrzebujemy o taki drobny dział gospodarczy, jakim jest łowiectwo. Nie zubożejemy zbytnio, jeśli one nawet całkowicie upadnie—nieprawdaż?

Chyba ta, lub w każdym razie podobna opinja o łowiectwie naszych sfer rządowych sprawia, że pomimo starań bardziej czynnych i przedsiębiorczych jednostek, które przedstawiały konkretnie obecny stan rzeczy oraz sposoby zapobieżenia złemu—władze państwowe, od których zależała decyzja w tym względzie, nic dotychczas nie postanowiły—jakgdyby, powiedzmy to otwarcie, popierały stopniowy upadek łowiectwa, zamiast przyczynić się do jego rozwoju!

Albo jeszcze jedna ewentualność...

Może za mało wagi przypisują nasze urzędy różnicy, która zachodzi między słowami, a raczej między pojęciami: m y ś l i w y i k ł u s o w n i k?

Może przesadnem i zbytecznem wydaje im się nasze żądanie, by polować mieli prawo zawsze tylko myśliwi a nigdy kłusownicy? Przecież i oni ludzie!

I czy wreszcie nie wszystko jedno, że danego zająca lub daną kuropatwę złapie w maju na sidła c h ł o p-kłusownik lub zastrzeli z dubeltówki w październiku p a n-myśliwy? Tak zając jak i kuropatwa giną jednakowo w obydwóch wypadkach, a chociaż śmierć przez powieszenie uważana jest za haniebniejszą niż przez rozstrzelanie — dotychczas jednak zwracano na to uwagę jedynie przy wyrokach śmierci, stosowanych względem ludzi.

W poprzedniem zdaniu podkreśliłem dwa słowa...

Kto wie, czy właśnie w tych dwóch słowach nie kryje się, bardziej niż w innych, klucz do rozwiązania zagadkowej bierności naszego Olimpu.

I chociaż przypadkowo, czy umyślnie „o tem się nie mówi", sądzę, że nie odbiegnę od prawdy, jeśli zarówno jak w polityce wogóle zauważę i w „polityce" Rządu odnośnie łowiectwa—przebłyski naszej, tak namiętnie uprawianej walki partyjnej.

Mimowoli przychodzi mi na myśl nader trafna bajka, którą czytałem w „Kurjerze Polskim" (numer z dn. 28 stycznia b. r.); nawet ocena śpiewu słowika, nawet postanowienia dotyczące łowiectwa zależą przedewszystkiem od prawej lub lewej gałęzi!

Myślistwo, zdaje się, jest traktowane jako ulubiona rozrywka „panów", odziedziczona po ich przodkach rycerskich.

Sport szalenie arystokratyczny, który tylko tyrańskie rządy popierały.

Bo kto gwałtem tego chce, może i polowaniu narzucić piętno feudalnego średniowiecza!

A kto prócz tego lubi żonglować patetycznemi frazesami, może, na dowód z jak „wstrętnym wyzyskiem" związany jest sport łowiecki, wygłosić naprzykład zdanie, że (w kotłach lub miotach) „obszarnicy (myśliwi) dla swej rozrywki i przyjemności wykorzystują czas i prace małorolnych (naganka), narażając ich jednocześnie na poważne niebezpieczeństwo zarówno od broni palnej, jak od kłów i szponów rozwścieczonego zwierza (zając, królik, cietrzew)!

Chyba tego rodzaju karykaturalny pogląd wywołuje niechęć i bierną opozycję naszego Rządu, sprawiając, że łowiectwo traktowane jest nietylko powierzchownie i po dyletancku, lecz jakoby stronniczo, a więc niesprawiedliwie.

A przytem, o czem już wyżej wspomniałem, n i e d o c e n i a s i ę u n a s a b s o l u t n i e z n a c z e n i a, j a k i e m a p r a w i d ł o w o p o s t a w i o n e ł o w i e c t w o i b o g a t y z w i e r z o s t a n d l a k r a j u, t. j. poprostu jego wartości pod względem żywnościowym, handlowym, przemysłowym, a wreszcie czysto finansowym.

Nikt przecież tego u nas na serjo nie bierze!

Prawdopodobnie też na ludzi, którzy wogóle głos w tej sprawie podnoszą, ogół (i Rząd) patrzy jak na manjaków lub fanatyków, których pretensje i zachcianki eo ipso nie na rozpatrzenie, a na pogardliwe wzruszenie ramion zasługują. O czyż nie wstyd, doprawdy, podnosić taki hałas i nudzić

---

*) Jedynie dla Rosji azjatyckiej (Syberji) ustawa łowiecka jest łagodniejszą pod względem przepisów i terminów ochrony, co tłomaczy się ogromną ilością zwierzyny. Niektóre gatunki wskutek szkód jakie wyrządzają są prawie wyjęte z pod ochrony.)

(bardziej poważnemi sprawami zajęte) władze, jedynie po to, by zapewnić sobie przyjemność polowania?!

A że w dodatku „przyjemność“ ta nie jest dla wszystkich dostępną, więc bodaj lepiej i słuszniej wogóle jej zaniechać?

Miejmy odwagę spojrzeć sobie szczerze i prosto w oczy, a jeśli nie całkowicie, to w znacznej części zbliżymy się do rzeczywistości.

Bez wyraźnej negacji, delikatnie, wymijająco ociąga się wszakże Rząd od uregulowania kwestji owiectwa, jakgdyby w obawie, że będzie to równoznacznem udzieleniu prerogatyw jednej warstwie społeczeństwa z krzywdą i ujmą dla drugiej.

Wiem, że znajdą się czytelnicy, którzy mi zarzucą, że nawet do łowiectwa wmięszałem politykę.

Odpowiem na to tylko, że daj Boże, bym się mylił mówiąc, że, jak we wszystkiem tak i tutaj zauważyć się dają pewne wpływy o politycznem zabarwieniu. Jeśli się mylę istotnie — tem lepiej. Z głęboką skruchą i z ogromną radością jednocześnie, cofnę wszystko com powiedział na ten temat, — a nieuzadnione moje obawy nie zdolają zamącić krystalicznej, czystości w jakiej się ta sprawa obecnie znajduje. Lecz jeśli ja mam rację, jeśli w zasadniczej kwestji, dotyczącej u nas łowiectwa, tkwi źdźbło partyjno-polityczne, to uważam, że lepiej zerwać nareszcie opaskę z oczu, lepiej przestać owijać swe myśli w bawełnę i otwarcie dążyć do porozumienia się z władzą, od której decyzja o przyszłości naszego łowiectwa zależy.

Za szczerość płacą zaufaniem.

Zaś zdobycie tego zaufania Rządu, bez którego nic nie zdziałamy, powinno być głównym naszym celem, a mówić możemy prosto i otwarcie, bo sprawa nasza jest dobrą sprawą, i zamiary nasze uczciwe i pożyteczne.

Spójrzmy tylko na łowiectwo bezstronnie i poważnie, jak na poszczególną dziedzinę sportu i hodowli.

Przedewszystkiem hodowli.

A zatem nie jest ono jedynie rozrywką, lecz pożytecznem zajęciem, które, będąc prowadzone umiejętnie i racjonalnie, daje bezwzględnie dochód myśliwym i krajowi. Wystarczy, by się przekonać o tem, rzucić okiem na rozwój myśliwstwa w Niemczech (przed wojną), na znaczenie, jakie mu powszechnie przypisywano, na dochód, jaki dawało i wreszcie na literaturę myśliwską, która wyrosła do potęgi samodzielnej i fachowej nauki.

To jedno, a po drugie nie z chęci posiadania jakichś przywilejów, lecz z samej natury łowiectwa wynika, że dla prawidłowego rozwoju potrzebuje ono, oprócz wielu innych warunków, przedewszystkiem przestrzeni.

Przestrzeń ta, zależnie od gatunku zwierzyny i od stopnia jej bojaźliwości musi być większą lub mniejszą, lecz nawet najłatwiej przystosowujące się do kultury i do bliskości człowieka gatunki, jak zając, bażant lub kuropatwa potrzebują spokoju, który im zapewnić może jedynie pewien obszar gruntu.

To też na dziesięciu morgach trudno jest „hodować“ zające lub kuropatwy, w tem znaczeniu, że nie będąc ogrodzone murem lub siatką (a kuropatwy prócz tego nie będą miały uciętych lotek) zadowolnią się całkowicie daną przestrzenią. Z tego wynika, że faktycznie o rozwoju i hodowli zwierzyny może być mowa tylko w związku z większym obszarem czy to prywatnym, czy rządowym, i co za tem idzie zajmują się nią i mogą z niej prawnie korzystać albo właściciele większych posiadłości rolnych, albo rząd na swoich terytorjach.

Jednakże rozpowszechniona opinja, że tylko obszarnicy korzystają z przywileju polowania, nie jest słuszną chociażby dlatego, że bardzo wiele osób, nie posiadających ani jednej morgi gruntu, przecież drogą dzierżawy otrzymuje możność polowania.

A dzierżawić może każdy, bez wyjątku, lecz zawsze powinien się przytem poczuwać do obowiązku opiekowania się zwierzyną i hodowania jej na dzierżawionym terenie. To samo w stosunku do drobnych właścicieli rolnych. Ci co pragną polować (a nie zajmować się kłusownictwem) mogą, drogą dzierżawy, zjednoczyć w swem ręku odpowiednią ilość ziemi, i samodzielnie, lub zakładając zbiorowe kółko myśliwskie, uprawiać racjonalne polowanie w myśl obowiązującej wszystkich ustawy.

Ogólne natomiast prawo, że „wszystko co na moim gruncie, to do mnie należy“ — w stosunku do zwierzyny musi być zawarunkowane odpowiednią tego gruntu ilością.

I nie jest to wcale jakąś brutalną chęcią skrzywdzenia bliźniego, odebraniem i przywłaszczeniem sobie jego praw, a tylko logiczną i słuszną obroną praw hodowcy, a więc tego, kto wkłada swą pracę i koszta na polepszenie zwierzostanu.

Jeśli ktoś hoduje cielęta lub świnie, to nie na to, by mu je sąsiad zarzynał i zabierał.

To samo ze zwierzyną, a fakt, że zająca ani sarny nie zamyka się w chlewie, nie wyklucza prawa do nich myśliwego, który dba o nie, żywi je i opiekuje się niemi.

Jak wszędzie, we wszystkiem tak i w dziedzinie łowiectwa wszystkich zadowolnić nie sposób.

Malkontenci znajdą się zawsze i są nimi ci, którzy dla jakiejkolwiek przyczyny nie mogą, pomimo swych chęci, uprawiać polowania. Wielu wprost nie stać na to. Ale jak koniokrada nie tłomaczy i nie usprawiedliwia fakt, że niema za co kupić sobie konia, tak kłusownictwa nie możemy tolerować, motywując to niezamożnością winowajcy. Tak jedno jak drugie jest przestępstwem wymagającem kary.

I kara wymierzana przez władze państwowe powinna być o tyle surowa, by winni nie śmieli lekceważyć jej sobie i w dalszym ciągu uprawiać swe nikczemne zajęcie. A dziś tak właśnie sytuacja się przedstawia. Główną przyczyną tego jest, że kwestja łowiectwa traktowana jest u nas prawdziwie po macoszemu, zamiast spoczywać

w ręku ludzi kompetentnych i energicznych, którzyby złu kres położyć umieli.

O łowiectwie decydować, u steru przyszłości łowieckiej stać powinien myśliwy i nie pierwszylepszy, a taki, który dowiódł i wykazał swą wiedzę popartą długoletniem doświadczeniem.

Od takich ludzi, których stanowczo nie brak w Polsce, powinny wyjść konkretne projekty zastosowane do chwili obecnej, a po przedstawieniu ich odpowiednim władzom państwowym, Rząd nasz zechce je chyba zatwierdzić!

Nie możemy oczekiwać, ani wymagać od Rządu, aby przygotowywał i zbierał materjał niezbędny dla jasnego i dokładnego ujęcia tej sprawy—musimy uczynić to sami, lecz po dokonaniu tej pracy **mamy prawo domagać się niezwłocznego rozpatrzenia** przedłożonego materjału, dla powzięcia decyzji, która będzie fundamentem naszej przyszłości łowieckiej.— Wielu z nas żyje nadzieją, że chwila ta niezadługo nastąpi!

Jan hr. Morstin.

Polowanie z puhaczem

CZĘŚĆ I.

Sport polowania z puhaczem w Niemczech, a zwłaszcza w Bawarji, z takiem zamiłowaniem uprawiany, u nas mało jest znanym, tu i owdzie tylko jako środek tępienia drapieżnego ptactwa gajowym bywa powierzany. A doprawdy szkoda! bo wcale niepośledni ten rodzaj polowania daje wybrednemu nawet myśliwemu pełne zadowolenie i szerokie pole do obserwacji łowieckich.

Sama przez szereg lat z zapałem polowanie to uprawiając, miałam możność dokładnego poznania wszelkich jego tajników, a drogą własnych spostrzeżeń zebrałam sporą garstkę wiadomości, któremi podzielić się pragnę.

Sport ten ma wiele cech wspólnych z polowaniem z dobrym wyżłem, gdzie pies tropiąc zwierzynę i myśliwego ku niej prowadząc, nerwy jego w ciągłem trzyma napięciu. Prawdziwemu myśliwemu tego rodzaju polowanie napewno stokroć więcej radości przysparza, aniżeli masowe łupienie zwierzyny idąc ławą (sztreifem) lub w kotle.

Polowanie z puhaczem dostarcza jeszcze większej różnorodności wrażeń, albowiem ten po orle najdrapieżniejszy z ptaków, będąc na uwięzi, stanowi cel zajadłych ataków ze strony swobodnie bujających drapieżnych współzawodników. Rola też jego jest czysto obronną, a sposób zachowania się, **odrębnie** zaznaczający zbliżanie się każdego gatunku przeciwnika, przejawia się w t. zw. **markowaniu**.

Myśliwski ten termin jest niemal równoznaczny z **wystawianiem** zwierzyny. Odpowiedniemi ruchami głowy i skrzydeł, zmianą całej swej postawy puhacz wyraźnie wskazuje myśliwemu nietylko kierunek, skąd idzie niebezpieczeństwo, ale pozwala mu wnioskować, czy wielki, czy też pośledniejszy wróg się zbliża. Oczywiście do wyczucia i zrozumienia wszystkich subtelności owego **markowania** dochodzi myśliwy drogą obserwacji, często z puhaczem swym polując. Puhacz tresury żadnej nie potrzebuje, a kieruje nim tylko instynkt wrodzony, temperament i bystrość orjentacyjna, które to cechy u samca nieskończenie więcej są rozwinięte niż u samicy. Ta ostatnia przeważnie senna i apatyczna, mimowoli i myśliwemu nudę swą udziela, a i jastrząb, nie widząc godnego siebie przeciwnika, z mniejszą też zapalczywością uderza. Twierdzenie, jakoby puhacz w dzień nic nie widział, jest wierutną bajką. — Wówczas bowiem gdy myśliwy o najbystrzejszym wzroku niczego jeszcze na horyzoncie dopatrzeć się nie może, on już doskonale rozróżnia jakiego rodzaju ptak się zbliża.

Osobliwą właściwością puhacza jest niesłychana giętkość szyi, umożliwiająca mu robienie obrotów łbem w ten sposób, że nie zmieniwszy pozycji tułowia, znakomicie może obserwować okolicę ze wszystkich stron.

Zanim przytoczę parę epizodów z polowaniem tem związanych, wspomnę o samej technice jego.

Klatka puhacza powinna być obszerna, czysto utrzymana, zawsze zaopatrzona w świeżą wodę do picia i do kąpieli.

Puhacz musi mieć stale założone na łapach rzemyki (pęta) zakończone żelaznemi kółkami. Zabierając puhacza na polowanie, z pewną trudnością połączone jest wydostawanie go z klatki. Narzuciwszy mu na łeb sporą płachtę wsadza się go do specjalnego wysokiego kosza z zamykanemi drzwiczkami, zachowując przytem wszelkie ostrożności, bo ptaszysko to złe patrzy tylko, gdzieby zaatakować człowieka. Ciekawem jest, że puhacz choć widzi w myśliwym jedynego obrońcę w chwilach niebezpieczeństwa, zawsze jednako wrogo doń się odnosi i absolutnie ułaskawić się nie daje. Miałam sposobność sprawdzenia tego na trzech puhaczach, z którymi polowałam. Najlepszem pożywieniem i przysmakiem dla puhacza są myszy. W braku takowych można mu dawać, w niezbyt wielkich ilościach i ptactwo strzelane pamiętając o obcinaniu dziobów i łapek, któremi

mógłby się skaleczyć lub zadusić. Puhacz połyka wszystko wraz z sierścią lub pierzem, co ułatwia mu trawienie; po pewnym czasie zwraca gardłem zbite kulki owej sierści i pierza.

Budkę myśliwską ustawia się na parę dni przed rozpoczęciem polowań, aby się ptactwo wszelkie z jej widokiem oswoiło, zwróconą być powinna ku północy, od strony cieniu, najlepiej do stogu przyparta. Ten rodzaj budki składa się z trzech trójkątnych ścian zbiegających się kątami ku górze, zbitych z łat drewnianych słomą poszytych, by się od stogu nie odcinały. W ściance wprost puhacza (stanowiącej jednocześnie drzwiczki) znajduje się okienko do strzału około 25×40 cm.

Ponieważ dobrze jest mieć kilka budek rozmieszczonych w różnych punktach, przeto można ustawiać jedne wśród nizkich gęstych zarośli, inne zaś w rowie wśród pola, gdzie najmniej widocznym jest rodzaj szałasu gałęziami krytego. Unikać tylko trzeba urządzania bud pod lasem lub parkiem, gdyż wówczas jastrzębie siadają na drzewach, w oddaleniu na strzał niemożliwem i urągają wprost puhaczowi, drażniąc i strasząc go nieustannie przeraźliwym piskiem, rzadko tylko uderzając nań znienacka.

Przed budką w odległości 35 kroków wbija się w ziemię mocny palik w kształcie litery T, wysokości około metra. Drążek poprzeczny musi mieć średnicy kilka centymetrów, zbyt cienki bowiem powoduje u puhacza kurcz w łapach. Kosz z puhaczem stawia się w pobliżu palika i uchylając drzwiczki, chwyta się haczykowatą kulką drewnianą za kółko jednej łapy i dowiązuje doń sznur 1½ metrowej długości, którego drugi koniec przywiązuje się do palika. Do kółka drugiej łapy tym samym sposobem zakłada się długi sznur około 30 metrów, który przeciąga się po ziemi do budki myśliwego. Sznurem tym myśliwy porusza od czasu do czasu, pobudzając czujność puhacza, w chwilach, gdy senność ogarniać go zaczyna. Pozatem jest on niezbędnym jako zabezpieczenie ptaka od ucieczki, w razie przerwania dziobem krótszego sznura, którym do palika jest przywiązany. (Gdyby nie ta asekuracja dwukrotnie byłabym puhacza straciła). Teraz otwiera się kosz i wyrzuca zeń puhacza, który rozejrzawszy się wokoło, na palik wskakuje.

Oto już wszystkie przygotowania poczynione, pozostaje tylko myśliwemu zająć swe stanowisko. Z jakąż radością bym to uczyniła! Niestety — poprzestać muszę na opowiedzeniu kilku wspomnień myśliwskich z minionej przeszłości, które mi żywo w pamięci przetrwały.

CZĘŚĆ II.

Pierwszy mój puhacz przywędrował wraz z nami z Monachjum do Warszawy w 1893 roku. Pamiętamy wszyscy aż nadto dobrze wrażenia, jakieśmy wówczas przeżywali dojeżdżając do Granicy. Radosne uczucie powrotu do kraju na wstępie już zatruwał widok niekulturalnych zbirów granicznych przetrząsających nasze manatki.

W dniu, w którym przewoziliśmy osobliwy bagaż, przyszła nam chęć zabawienia się trochę kosztem naszych prześladowców.

W sali wśród licznych kufrów ogólną uwagę zwracał wysoki, gęsto pleciony kosz z drzwiczkami na kłódkę zamkniętemi. Na wierzchu napis „Vorsicht". Przez niewielkie otwory wentylacyjne widać tylko jarzące się jak latarnie dwa olbrzymie ślepia. Wnet gromada „białych fartuchów" otoczyła kosz, żywo rozprawiając, do jakiej kategorji bagaż ten zaliczyć. Wreszcie jeden z nich zapytuje: „Czto eto za zwier?" „Djabeł" odrzekłam. Zły wybiegł na peron i sprowadził jakieś ważnoje lico uzbrojone w pręt żelazny, którym to próbował zbadać wnętrze kosza, ale musiał widocznie zadrasnąć puhacza, bo w tejże chwili rozległ się dwukrotnie okrzyk: Uhu! uhu! poczem fukanie i suchy trzask dziobem. — Odważny dygnitarz odskoczył jak oparzony, a ja dobrodusznie zapytałam, czy mam otwierać ten kosz do rewizji.

Oczywiście nie dawszy odpowiedzi, ulotnił się szybko, a my po chwili, z naklejoną już na koszu kartką, powracaliśmy do wagonu.

Tak się odbyło pierwsze spotkanie puhacza z drapieżnikiem na terenie polskim.

Wyjechaliśmy wkrótce potem na wieś, gdzie rozpoczęłam mój debiut myśliwski. Ku wielkiej mej radości z powodzeniem. Śmigający nad puhaczem jastrząb spadł po pierwszym strzale. Obecny przy tem mąż mój, wytrawny myśliwy, przyklasnął mi. To zdecydowało.

Żyłka myśliwska, dotychczas we mnie drzemiąca, rozbudziła się na dobre. Cieszyła mnie podwójnie możność pogodzenia miłej rozrywki z pożytecznem tępieniem szkodników, stanowiących plagę naszej okolicy. Głównym moim terenem operacyjnym była Dąbrówka i Chlewnia w pow. błońskim, gdzie w ciągu jednego sezonu zabiłam 145 jastrzębi oraz pokaźną liczbę wron i innych drobniejszych szkodników.*)

Najlepszą porą dnia dla polowań z puhaczem są godziny ranne do południa i popołudniowe do zachodu słońca. Pomiędzy godz. 12-ą a 3-ą panuje w polu zupełna cisza.

Najciekawsze okazy drapieżnego ptactwa pojawiają się w czasie przelotów: z wiosną i na jesieni.

W jeden z dni październikowych, zabrawszy puhacza i strzelbę, udałam się do mej budki myśliwskiej, z żalem rozmyślając o bliskim już wyjeździe na zimowe leże i rychłem zakończeniu moich myśliwskich rozkoszy. Wpatrzona w puhacza, zauważyłam dziwne zachowanie się jego. W zupełnie odmienny, niż zazwyczaj, sposób objawiał dziś swój niepokój.

Bez żadnych uprzednich znaków ostrzegawczych zaczął nagle dygotać i trząść się jak w fe-

---

*) W 1899 r. na pierwszej Wystawie Łowieckiej Tow. Racjonalnego Polowania przyznało p. Marji Esmondowej dyplom (List pochwalny) za tępienie szkodników (Przyp. Red.)

brze. Zjeżył pióra, rósł w oczach, potworne przybierając kształty, wreszcie runął z palika na ziemię, wyrywając z zaciekłością całe kępy zielska. Daremnie próbował zerwać więżące go pęta, miotał i szarpał się jak szalony. Nie mogłam zrozumieć powodu tak niezwykłego przerażenia, tem więcej, że, jak okiem sięgnąć, niczego na niebie dopatrzeć się nie mogłam. Naraz mój puhacz rzucił się nawznak i potężne swe szpony kurcząc i prężąc zadawał w powietrzu ciosy niewidzialnemu jakiemuś wrogowi. Jednocześnie ozwał się złowieszczy głos jego: Uhu! uhu! i w tejże chwili spostrzegłam po ziemi płynący cień, jak od chmury. Spojrzałam w górę. . Nad puhaczem przeciągał olbrzymich rozmiarów sęp królewski o długiej, gołej szyi, okolonej śnieżnym puchem.

Zjawił się on nagle z poza stogu, przy którym była moja budka. W oczach mi pociemniało, tętna jak młotem waliły. Strzeliłam raz i drugi. Strzał był blizki.

Puch posypał się obficie. Zakołysał się ptak wspaniały — raptownie lot swój zniżył i... Psiakrew!!... popłynął dalej w świat.

Nabój był za słaby. Doprawdy pech jakiś specjalny, żeby okaz tak niezwykły pojawił się był właśnie w pierwszym roku mych polowań, gdy posiadałam jedynie broń 28-go kalibru.

W kilka dni po tej przygodzie dowiedziałam się, że postrzelonego sępa zabito w Puszczy Kampinoskiej.

Marja Ejsmondowa.

MYŚLISTWO W SZTUCE JÓZEFA CHEŁMOŃSKIEGO

Józef Chełmoński urodził się pod Warszawą, w Boczkach, w 1850 roku. Początkowo kształcił się w Warszawie. 1871 r. wyjeżdża do Monachjum, po dwuletnich studjach wraca do kraju, skąd udaje się do Paryża. Tam zdobywa wszechświatową sławę. Roku 1889 powraca powtórnie do Warszawy; osiada we własnej wiosce Kuklówce, pod Grodziskiem, gdzie dokonał żywota 6 kwietnia 1914 r.

Chełmoński jest niezrównanym mistrzem krajobrazu swojskiego.

Myślistwo nierozerwalnie związane z przyrodą polską, zajmuje wybitne miejsce w jego twórczości. Choć widziano go nieraz na stanowisku z bronią w ręku, wielki artysta sam myśliwym nie był, tak jak nie był myśliwym i autor „Pana Tadeusza“, który woła do borów litewskich:

„Ja ileż wam winienem, o domowe drzewa!
Błahy strzelec, uchodząc szyderstw towarzyszy
za chybioną zwierzyną ileż w waszej ciszy
upolowałem dumań, gdy w dzikim ostępie
zapomniawszy o łowach, siadałem na kępie...
A koło mnie srebrzył się tu mech siwobrody
zlany granatem czarnej, zgniecionej jagody,
a tam się czerwieniły wrzosiste pagórki
strojne w brusznice, jakby w koralów paciórki...“

Słowa te możnaby świetnie zastosować i do Chełmońskiego. W przyrodzie szukał przedewszystkiem natchnienia i czerpał je pełnemi garściami z dziewiczych jej skarbców. Był poetą lasu tak wielkim, jak Mickiewicz w „Panu Tadeuszu“, jak Sienkiewicz w swej cudnej „Sielance“, jak Weyssenhoff w „Sobolu i pannie“ i w „Puszczy“. Był poetą lasu i pola, leśnych i polnych mieszkańców. Znał zwierzęta, jak Dygasiński, a kochał je, jak Maeterlinck.

Przenosi nas w głębie mateczników, w dziewiczy ostęp, gdzie wśród wywrotów niedźwiedź ma legowisko, gdzie

„co krok czychają, niby wilcze doły,
małe jeziorka, trawą zarosłe napoły“.

To znów roztacza przed widzem czarujące krajobrazy polne. Zając stoi słupka i nadsłuchuje śród zbóż... Wokoło kwietna miedza... Na prawo i na lewo szumiące łany... Na innym z obrazów widzimy małe zajączki, igrające na pastwisku nieopodal od pasących się koni.

Wiedzie nas z sobą na łąki wiosennemi roztopami zalane, błękitne niebios odbiciem, rozzłocone kobiercem kaczeńców, rozbrzmiewające krzykiem zgiełkliwych czajek... Obraz nosi tytuł „Wiosna“. Wszystko w nim jest wiosną i nadzieją i weselem.

Życie tryska z płócien Chełmońskiego, przedstawiających nam gwarne jeziora, pełne ptactwa i słońca. Czy to podziwiamy jego wspaniałego „Bąka“, czy dzikie kaczki, czy kuliki, czy siewki krążące nad oczeretem. Ale nietylko radość wiosenną, nietylko letnią beztroskę w przyrodzie umie nam wyczarować pędzel genjalnego artysty. Odlatujące żórawie pełne są jesiennego smętku, a groza zimy mrozi nas wprost, gdy patrzymy na zziębnięte „Kuropatwy“ śród pola, śród zadymki, blizkie śmierci...

Wspaniałemi są obrazy: „Napad wilków“ oraz „Sanki ścigane przez wilki“. Oba pochodzą z okresu paryskiego. Trójka koni rwie przed siebie na oślep. Wilki niezrażone hukiem broni palnej, ani śmiercią jednego ze swych towarzyszów, napastują uciekające sanki.

Z pośród innych myśliwskich obrazów Chełmońskiego wymienić należy „Na sankach myśliw-

skich", „Grupa myśliwska", „Wyjazd na polowanie" „Dojeżdżacz" i wreszcie „Polowanie na głuszce", jedno z najpiękniejszych arcydzieł obok „Bąka" i „Kuropatw".

W ślad za Chełmońskim idziemy przez lasy i ostępy, miedze i łąki, poznajemy życie puszczy i równiny mazowieckiej. Idziemy za nim z zapartym oddechem w piersi, z podziwem, jaki miał Dante dla przewodnika swego Wirgiliusza, tylko, że Dante otchłań i niebo poznawał, a my poznajemy kraj-smutniejszy od otchłani i piękniejszy od nieba—ziemię naszą rodzinną.

Wspomnienia ze Styrji

I. Alpy.

Alpy ze swojemi dolinami, zaścielonemi łanami zbóż, górami zdobnemi w wieńce iglastych lasów, przełęczami skalistemi, stokami stromemi i halami rozłożystemi, są prawdziwym rajem dla myśliwego.

Począwszy od zająca ukrywającego się w rowie pola kapuścianego, aż do orłów, budujących swe gniazda na niebosiężnych stromych skałach, obfitują te kraje górzyste w zwierzynę wszelkiego rodzaju: ptactwo wodne stadami całemi pokrywa brzegi jezior alpejskich, sarny i jelenie przebywają w borach rozłożystych, wilki i lisy niepokoją zimową porą gospodarzy, a dzikie kozy, bodaj że najtrudniejsze obok głuszców do upolowania, wspinają się po stromych ścianach skał, urągając niewprawnym myśliwym swą niezwykłą bystrością.

Natura sama, zda się, pragnęła w tej krainie zbudować sobie pomnik swej wszechpotęgi. Widzimy stoki gór, tarasami opadające, pokryte szeroko winnicami; lasy na południu liściaste, ustępują ku północy miejsca smrekom i świerkom, pokrytym wieczną zielenią; rozłożyste krzaki paproci tworzą nad rwącemi strumykami sklepienia pachnące, a szczyty zdobne w zdradziecką kosodrzewinę kryją skarby gwieździstych szarotek, gencjanę i tysiące kwiatów, będących upragnionemi trofeami turystów.

Lud przyrośnięty do tej ziemi, wchłaniający w siebie przez całe swe życie to powietrze czyste, przesiąknięte upajającą wonią kwiatów skalnych i żywicy, dobrze odczuwa ten przepych przyrody, jest zazdrosny o swoje góry, opiewa je w melodyjnych pieśniach, śpiewanych przy dźwiękach ich narodowego instrumentu, tryumfującej wspaniałością tonów i płaczącej zarazem rzewnie, jak wiatr jesienny na samotnej przełęczy — cytry.

Lud prosty, szczery ale zawzięty, posłuszny ale hardy, zanadto świeżo i dobrze pamięta czasy, kiedy był panem bezwzględnym bogactw, jakie natura słała mu do nóg, — a żyłka myśliwska, wpajana i rozwijana starannie od wieków, zmieniła się w potężną namiętność, która sprawia, że na sam widok strzelby gorączka ogarnia najmniejszego nawet chłopca.

II. Rykowisko jeleni.

Wieczór się zbliżył,

Słońce przebijało się jeszcze przez gąszcz gałęzi, z głębi lasu wiało powietrze chłodne, przesiąknięte upojnym wyziewem drzew i polan. Świergot ptactwa jakoś zamilkł, a błoga, niczem niezmącona cisza rozłożyła się szeroko nad borem.

Cisza ta przedwieczorna w gęstwinie lasu, ma w sobie coś z potężnej modlitwy, coś, co zmusza krew do szybszego krążenia, serce się rozszerza w szczerem nabożeństwie, a dreszcz niewytłómaczonej trwogi wstrząsa człowiekiem.

W chwilach takich maleje się wobec ogromu majestatu i zdaje się, że się odczuwa tchnienie wieczności.

Cisza nabożna, wzniosła.

Nagle z głębi boru, skądś daleko, dochodzi głęboki, niewyraźny szmer,

I znów cisza, jakby świat cały zastygł w oczekiwaniu czegoś wielkiego, potężnego.

I znów głos ten sam, ale teraz wyraźniejszy, głos głuchy, jakby wydobywał się z głębi ziemi, głos przeciągły, mający w sobie coś z groźby potężnej i zarazem łkający płaczem, przejmujący trwogą.

Naraz, stopniowo, w tej, to znów w tamtej stronie lasu wtórują, jak echo, to bliżej, to dalej, też same ryki, zrazu urywane, jakby pytające, potem silniejsze, przeciągłe, aż w końcu zlewają się w jeden olbrzymi, wstrząsający nerwami akord, okropny swą potęgą, mrożący krew swą tęsknotą

Las cały zda się płacze i grzmi zarazem.

Jelenie ryczą.

III. Polowanie na jelenie.

Byłem wtedy jeszcze chłopakiem czternastoletnim.

Wieczorem przed owym pamiętnym dla mnie dniem zjawił się u ojca mojego stary mój przyjaciel, towarzysz niezliczonych wycieczek, nauczyciel i mentor, Szymon, gajowy, o którym ojciec mawiał, że jest chytry jak lis, zwinny jak wiewiórka i silny jak tur.

Przyszedł i prosił o pozwolenie, by mnie

mógł wziąć ze sobą nazajutrz na polowanie na jelenie.

— Czy was więcej będzie?

— Nie panie, pójdziemy we dwójkę.

— Dobrze, weźcież ze sobą Hektora!

— Nie trza, panie! Stary Szymon ma nos lepszy od niego, a zresztą dobry góral i bez psa złapie wiatr.

I nazajutrz jeszcze przed świtem wyruszyliśmy we dwóch.

Po drodze opowiadał mi Szymon o swych niezliczonych i fantastycznych przygodach podczas polowań, i, sam nie spostrzegłszy się, przypominał czasy, gdy jeszcze nie był w służbie leśnej, tylko jako młody drwal urządzał sobie polowanie tak, w pojedynkę.

Przypomniałem sobie wtedy słowa ojca, że gdyby Szymon nie był leśniczym, byłby pierwszym kłusownikiem w okolicy. Ale trudno! wilka z tego dzikusa nie sposób wypędzić!

Sztucerki mając na ramieniu, szliśmy więc po lesie, spokojnie, pomału, co niemało mnie niecierpliwiło, lecz na krótkie, ale dosadne: — Milcz teraz i nie wyrywaj się naprzód—poddałem się pod rozkazy Szymona.

Był to wogóle niezbyt grzeczny człowiek. Nawet ojcu na polowaniu rozkazywał szorstko, używając często tytułu „ty" co zresztą u górali alpejskich jest zupełnie przyjęte.

Ścieżka wązka prowadziła nas przez gąszcza, polany, wzdłuż strumyka, w górę, każąc nam często wspinać się po spadzistych stokach skał.

Wyszliśmy na polanę, przerżniętą strumykiem.

Długo Szymon koło wody szukał i węszył, kładł się na ziemię, chodził tam i z powrotem, aż wkońcu zawyrokował: — Są.

Od tej chwili porozumiewaliśmy się tylko na migi, idąc krok w krok, na przełaj przez las, wspinając się po stokach, skacząc przez strumyki.

W końcu doszliśmy na skraj lasu, pod nami rozciągała się dolina, wznosząca się ku nam bujną polaną, od nas zaś w prawo ciągnął się łukiem skraj lasu, znaczący grzbiet góry.

Usiedliśmy, czekając.

Głęboka cisza dokoła, jeno na łące brzęczały jakieś owady, a z lasu dolatywał od czasu do czasu stuk dzięcioła.

Czas upływał w niemem oczekiwaniu.

Nagle podniósł Szymon nieznacznie rękę w górę. Nasłuchuję: cichy szelest i prawie niedostrzegalne łamanie gałęzi dochodzi ucha, — zbliża się, — już tuż, tuż.

Rzucam wzrokiem na strzelbę, ujętą kurczowo w ręce — i czekam.

Nagle obraz wspaniały. Na skraju lasu stoi jeleń-byk ze wzniesioną w górę głową, majestatycznie rozglądając się wkoło.

Leżymy — zatrzymujemy oddech.

Cisza. Jeleń stoi na tle lasu jesiennego, wspaniały mocarz lasu.

Nie wiem, jak długo to trwało. Skamieniały wpiłem oczy w jelenia, stojącego nieruchomo około pięćdziesięciu kroków od nas i — zapomniałem o wszystkiem.

Uderzenie bolesne w bok zbudziło mnie, złożyłem się — huk — i zwierz, podrywając się do skoku, załamał się w sobie.

Radosne moje „juha"! rozległo się i wróciło echem z przeciwnej strony doliny.

— Wprawdzie dobrze biłeś, aleś jeszcze niemrawa! orzekł Szymon przyczepiając mi do kapelusza gałązkę smreku, umoczonego uprzednio alpejskim zwyczajem we krwi zdobyczy.

Paweł Zagórowski.

Z literatury łowieckiej.

Staropolski traktat o zwyczajach zwierząt łownych i o rodzajach łowów.

Omówiony przezemnie w poprzednich numerach „Przeglądu Myśliwskiego" traktat Haura z 1689 r., poza „sekretami" i zabobonami łowieckiemi zawiera cały szereg ciekawych opisów zwierząt łownych i rodzajów polowań na nie.

Świadomie zupełnie w poprzednich numerach rozpocząłem od „sekretów" i zabobonów, ponieważ stanowią one najcharakterystyczniejszy rys literatury łowieckiej owych czasów nietylko u nas, ale i w Zachodniej Europie.

Obecnie przechodzę do pobieżnego rozpatrzenia ściśle myśliwskiej treści traktatu.

Pierwszy rozdział mówi nam „O j e l e n i u, zwierzu okazałym".

„Jeleń jest zwierz w sobie cudny, bystry i okazały, którego wielą cnót udarowała natura.

Ten pomieniony zwierz, w lasach rad przebywa, osobliwie przy takowej kniejej, gdzie s źródła żywych wód bieżących, który nietylko dla swego posilenia i pragnienia zwykł się tam chować, ale też z natury swojej rad przy takowym zabawia się i delektuje miejscu.

Z natury jest bardziej łaskawy aniżeli popędliwy srogością, ma w sobie bojaźń, głosu wilczego się stracha i boi; gwizdania, śpiewania rad słucha.

Jelenie żyją lat sto, którzy się swemi, każdemu zwierzowi od napaści, bronią rogami.

Myśliwi w niektórych krajach miewają całkowitą, z głową, z rogami jelenią skórę i w nią się przebierają (osobliwie Indyani), jak na jaki djalog,*) tak dalece, że owej nie rozeznać maszkary, ale tak się zda, jakoby właśnie postać jelenia była samorodna; a przeto te bestje na drugiej stronie od rzeki będące, nie strachają się; a przez ten fortel ich z ruśnic rażą i za pewny ubijają połów".

Drugi sposób polowania podaje Haur następujący: Zwierza „myśliwi zaganiają do sieci psami, którego potym ruśnicą i oszczepami rażą i łowią. Czynią też na niego na pewnych ślakach sidła i pewne zawikłania z mocnych powrozów, gdy ich gdzie na podobnym miejscu pośłakują".

Rozdział II traktatu Haura mówi nam „o łosiu ogromnym i o jego cnotach i naturze".

„Łoś, którego Włoszy zowią gran bestia, jakoż jest zwierz w sobie ogromny, potężny i żartki, w lasach gęstych rad przebywa, ile w takich krajach, gdzie w gęstwinie może się zakryć, zachować; na zimę jest trwały; w litewskim kraju, sandomierskim i Mazowszu (tak!) znajduje się tenże zwierz. Gdy człowieka swoim obali impetem, to go na ziemi kopytem siecze i razi aż do śmierci, jako jakim pałaszem.

Myśliwi łowczy z ruśnicą na niego schadzają. Skóra jego do wyprawy i garbowania jest nad inne delikatniejsza. Mięso jego jest zdrowe i posilne, tylko żeby nie był stary bardzo. Żyje lat 50 lub 60".

Rozdział III nosi tytuł: „O żubru srogim nie bez sekretu":

„Żubr w tychże właśnie przebywa krajach i miejscu, a najgęściej w Litwie, którego tymże właśnie w łowieniu dostawają sposobem, jako się wyżej opisało. Jednak większej nierównie trzeba użyć ostrożności, aniżeli z innemi zwierzęty, albowiem jest zwierz okrutny i srogiej natury, podobny bykowi dzikiemu, bawołowi i turowi, rogi mając wysokie, długie, równe jako oszczepy kończyste, twarde jak artowane; któremi rogami zastępujących myśliwych na łowach albo psów doganiających przebija i na rogi wziąwszy, tak długo w górę ciska, rzuca jako jaką piłką, aż zabije i zamorduje.

W puszczach, borach gęstych, rad przebywa. Zimne bardziej mu plegują kraje aniżeli gorące, dlatego jego mnóstwo większe jest w Litwie, w Moskwie i Czechach, aniżeli kędy indziej.

Na pokarm byle nie był bardzo stary, zdrowy i posilny. Skóra także do wszelkich rzeczy garbowana pożyteczna rzemieślnikom, której i farbować niepotrzeba, gdyż jest sama przez się naturaliter czarna".

Rozdział IV zajmuje się „Niedźwiedziem niezgrabnym". Niedźwiedź „w łapach ma takową władzę, jako małpa albo kot morski, który cały miesiąc czerwca nie spożywa żadnego pokarmu tylko łapę liże, jakoby jaki swój na ten czas odprawuje post.

*) t. j. jak na przedstawienie sceniczne.

Sierci na sobie jest dwojakiej: czarno-szarawej; w Moskwie, w Łapiej i Islandiey znajduje się wszytek biały jako śnieg. Są wielkie, średnie i pomniejsze. Potomstwo swoje płodzą bez formy, nakształt sztuki pieczeni, którym potym lizaniem samica do swojej dopiero formuje postaci.

Gdy niedźwiedzia myśliwiec trafi z ruśnicy, to tę dziurę, aby go krew nie uchodziła, ziemią zatyka.

Myśliwi różnemi mu dokuczają w łowie sposobami; stawiają na niego ślaki na sprężynach żelaznych, zielono malowane klatki, włożywszy mu czego rad zażywa do pokarmu; który, sprężyny poruszywszy, jako ptak się zamknie, i tak go żywcem łapają".

Rozdział V nosi tytuł „o dziku abo Hodyńcu okrutnym":

„Dzik jest zwierz w sobie okrutny, ogromny i popędliwy; słyszeć go dobrze w lesie choć opodal, jaki czyni szum bieżąc. Podróżnym i myśliwym trzeba od niego mieć się na osobliwej ostrożności, którego gdy kto rozdrażni, oślep jako szalony na człowieka natarczywie bieży; swoim kłem jako jakim pałaszem przetnie człeka i rozedrze aż do śmierci. A przeto gdy kto jest bez broni, a wytrzymaćby mu nie mógł, trzeba twarzą paść na ziemię: już kłem porazić nie może. Nie dba na oszczepy, rohatyny, na widły żelazne i na strzelbę, chyba że go z guldynki gwintownej, abo z tarczowej ruśnice dobrze sparzy i trafi; który tym razem zajuszony, gdy popędliwie nadbieży, trzeba mu się natenczas warownym potężnie zaraz złożyć oszczepem, abo widłami, jeżeli do powtórnego nie przyjdzie nabicia strzelby, abo drugi nie poprawi pomocnik. Zwierza z przodu w pierś celować i trafić potrzeba, ponieważ jego krzyż abo zad jest jakoby kirysem, abo żelazną uzbrojoną blachą, z czochrania od sosnowego drzewa żywice, a tak się go nie ladajako imie kula.

Jest zwierz zajadły, koleryczny, okrutny osobliwie natenczas, gdy swoję z jakiego obrażenia krew obaczy, leci na oślep na myśliwego oręże. Rany swoje obrażone abo od strzelby postrzelone żywicą od sosnowego drzewa czochrając się leczy. Jest bestja sroga, w błotach się walająca dla swej srogości, lada prostemi karmiąc się potrawami. Gdy jednego wieprza kto uderzy, drugie o tę zniewagę jego głośno rzechocą i do kupy się zaraz zbiegają na ratunek; żałując go kwiczą, jednak nie mściwe, bo prędko swego zapominają przeciwnika: dopadłszy tylko błota — uśmierzają się".

Mięso dzika, na pokarm nad inną zwierzynę jest zdrowe, pożyteczne i smaku dobrego, żołądkowi strawne, krew czystą sprawuje i mnoży.

W rozdziale IV „o kozicach" autor pisze:

„Między niemi jest niektóry rodzaj, które mają rogi szerokie, płaskie, ostrorogate, przez cały swój żywot onych nie zrucają, rade się pasą na zieloności i na takowej wysokości, że ich ledwie oko ludzkie dojrzeć może. A gdy od strzelców widzą niebezpieczeństwo, z wysokich skał naprzeciwko drugim skałom nad głębokiemi przepaściami i dolinami przeskakują i tam się na swych ro-

gach zawieszają: owo zgoła jest jako ptak lotna i bystra do podziwienia ta bestja.

Gdy myśliwiec którą zastrzeli, biega z postrzałem po różnych miejscach, szukając poleju ziela, który się kreteński zowie, którego gdy użyje wszelkiego pozbywa swego niebezpiecznego postrzału.

Mięsiwo gdy jest świeże i młodociane do zdrowia pomaga.

Skóra z nich pod siodła i pod kulbaki miasto wojłoka bardzo wygodna.

Rozdział VII mówi „o ł a n i albo o damulach":

„Łania jest w sobie zwierzę dzikie, lękliwe i pierzchliwe, w siłach swoich słabe i miękkiego rodzaju, bronić się nieumiejące, jako żadnej niewiadome srogości, tylko co uciekać dla chyżego biegu i płochości umiejące.

W Hiszpaniej i po różnych innych ciepłych krajach są łanie białego koloru. Te mają utarczkę z wężami; goniąc je na potkaniu*) kopytem biją i zarzucają, tak tego nienawidzą rodzaju.

To zwierzę w swojej czerstwości jest zawsze zdrowe, żadnym nie podlega chorobom i dlatego rostropni myśliwy dla dobrego i długiego zdrowia niech ich dostają i łowią, aby takiego mięsa często ludzie zażywali.

Krew tego zwierza jest bardzo zdrowa, bo tą krwią żyły pokurczone i schniące goją".

O z a j ą c u traktuje Rozdział VIII:

„Zając jest zwierz lekkonogi, bo lekko i chyżo ucieka, prędki i bojaźliwy, natury mdłej i słabej, obdłużnych uszu; łatwiej w górę aniżeli z góry ucieka; z oczami otwartemi sypia z tej przyczyny, że niema powieków, któreby śpiącemu wzrok mogły zasłonić; wargami zawsze rusza i wąsami trząsa.

Piszą o nim naturalistowie, że w pewnych krajach na zimę bieleją**), na wiosnę zaś do pierwszego przychodzą koloru i sierci. W Islandji zawsze jest białym i w Moskwie.

Z natury jest suchy, jednak krew dobrą mnoży, kto go często na pokarm używa. Zając pieczony czyści żołądek i poleruje.

Żyje zając lat 10, jako i kot domowy.

Sekret łowienia zajęcy, według Haura, jest następujący: „Dostać piołunowego soku, dostać do tego krwie młodego zająca. Umieszawszy z tego massę, a potem to w skórę zajęczą zaszywszy, w ziemie przy jakim gaju zakopać. Wszystkie tedy zające, co ich bydź może w tej okoliczności na to się zbiegać będą miejsce, a mając pogotowiu wszelką myśliwską opatrzność i potrzeby do połowu, tedy przez ten sposób wiele ich może nałowić na pożytek i uciechę swoją".

Następny rozdział (IX) zajmuje się l i s e m:

„Liszka jest sztuczna i pełna chytrości. Nietylko kury, kapłony i inny drób folwarczny trapi i psuje, ale nawet i pszczołom nie przepuści; do ulów się dobywa, świszcze i drapię; ogon w ulu uwala: gdy na to padają pszczoły i ossy natenczas ich bije i tłucze, a tak ich przepleniwszy dopiero na miodzie dobrze popasa do sytości. Wypada na czatę nietylko w nocy, ale i we dnie".

Z Rozdziału XI dowiadujemy się „o k r ó l i k a c h swojskich", które „w płodzie swoim są bujne i często mnożne".

„Futra z nich lekkie i użyteczne, tylko, że w się prędko nabierają wilgotności, a zaś na suchość zsychają się.

Rozdział XII nosi tytuł: „o b o r s u k u abo jaźwcu z jego dzielnością":

„Borsuk zwirzę jest dwojakiego rodzaju: pierwszy ma nogi podobne psu, drugi—jak u wieprza. Jest w sobie tłusty i syty do ukąszenia prędki i żartki. Żyje w polu robakami. W ziemi głęboko się kopie trybem królików biesiadując.

W Rozdziale XIII „O castorze abo o b o b r u" czytamy: „Bóbr to jest zwierze wodnoziemne, które w wodzie i po ziemi szuka swego pożywienia. Z rzek, z stawów i z przyległych sadzawek wyplenia rybki, w lasach zaś jabłkami, gruszkami i różnemi innemi żywi się owocami. To zwierzę ma przednie nogi jako piesek, poślednie zaś jako kaczka, abo jako jaki ptak; zębów bardzo ostrych, sierci mękkiej i delikatnej.

Bóbr gdy świśnie zaraz wespół gromadno do lasów i na puszczą głęboką bieżą i schodzą się, drzewa z kor obdzierają zębami i do jam swych wnoszą.

Mają też między sobą porządek: gdy się z innego stada zabłąka bóbr do nich, każą mu sobie czynić posługi, robotę; wywrócą go nogami do góry i na niego skóry łupane z drzew, jak na wózek, nałożą; a drudzy go za ogon aż do jam ciągną, że mu aż sierć z grzbieta oblezie od tej prace. Trafia się, że na to napadają łowcowie, a zlitowawszy się nad nim, uwolnią go i puszczą.

Bóbr ziół gorzkich rad zażywa i za specjalny przysmak one sobie waży i dlategoć jego mięsiwo jest do jedzenia gorzkawe.

Myśliwi gdy go łowią i szczwają więc on na samym doganianiu wiedząc o tym, że łowcy najbardziej o jego starają się strój odgryzuje to sobie prędko, a przed ich oczy odrzuca i miota, aby na samego wzgląd mieli i wolnie go puścili".

Julian Ejsmond.

(d. c. n.)

*) przy spotkaniu.

**) „z a j ą c e", nie „n a t u r a l i s t o w i e".

Kalendarzyk myśliwski.

W marcu wolno polować: na dziki, cietrzewie (koguty), bażanty (koguty), słonki

Handel zwierzyną.

W rozkazie do komisarzy policyjnych komisarz rządu m. st. Warszawy zwraca uwagę, że, mimo zakończenia sezonu myśliwskiego, uprawia się w dalszym ciągu handel zwierzyną, co się sprzeciwia odnośnym przepisom. Wobec tego komisarz rządu poleca, aby komisarze zarządzili rewizje w sklepach, handlach ze zwierzyną oraz w restauracjach, i w razie znalezienia zwierzyny, należy ją skonfiskować, a winnych sprzedaży pociągnąć do odpowiedzialności sądowej.

Z prasy myśliwskiej.

Ostatnie numery „Wild und Hund".

W styczniowych i lutowych numerach „Wild und Hund" spotykamy cały szereg bardzo ciekawych artykułów myśliwskich, na które pragnęlibyśmy wrócić uwagę polskiego czytelnika.

Interesujące jest studjum o użyteczności drapieżników, które autor słusznie nazywa „policją sanitarną lasów". „Gdzie niema drapieżników tam niema i zdrowej zwierzyny łownej" twierdzi p. Kohl i przytacza cały szereg argumentów na poparcie swego paradoksalnego twierdzenia.

Ze wspomnień na pierwsze miejsce wysuwają się „Argentyńskie wspomnienia łowieckie" Colditza, opisujące wspaniałe łowy na rude wilki, dzikie lamy, kondory i ptactwo błotne.

Szczególnie jednak ciekawą jest rozprawa Wegenera (Nr. 5) o istocie i źródle namiętności łowieckiej. Podczas gdy jedni widzieli źródło „żyłki myśliwskiej" w rozkoszach ćwiczeń fizycznych, inni w żądzy niszczycielskiej, a jeszcze inni w poszukiwaniu pokarmu, autor omawianego studjum upatruje źródło namiętności łowieckiej w żądzy tryumfu i panowania. Konieczność obrony przed dzikim zwierzem zmuszała pierwotnych ludzi do łowów.

Siła, mądrość i osobista odwaga, to trzy wybitne cechy władców. Zwycięstwo nad dzikim zwierzem zaspakajało przedewszystkiem instynkty władcze. Tryumf stawał się źródłem radości myśliwskiej. Poboczne cele stanowiło wzmocnienie ciała, poczucie swobody i rozkoszowanie się przyrodą.

NASZA POCZTA.

Listy do Redakcji.

Szanowny Panie Redaktorze!

W ostatnim (2—3) numerze „Przeglądu Myśliwskiego" w „Projekcie ustawy łowieckiej w rozdziale „Kary" zamieszczony jest § 78 w następującem brzmieniu:

> „Za zawodowego kłusownika uważać należy tego, kto był trzykrotnie karany za pogwałcenie niniejszej ustawy".

Nie jestem wprawdzie myśliwym, więc n i e do mnie należy krytyka r z e c z o w a wspomnianego projektu. Że jednak, jako miłośnik przyrody, a w szczególności zwierząt, z dużem zainteresowaniem czytałem w całości ów projekt, mający, przynajmniej do pewnego stopnia, wziąć w opiekę trzebiony nasz zwierzostan, więc pozwolę sobie zwrócić uwagę na tę formalną niewłaściwość zawartą w określeniu wyrazu „kłusownik".

Kłusownikiem według projektu ustawy jest nietylko ten, kto zawodowo lub dla celów zarobkowych poluje na zwierzynę w sposób, ustawie się sprzeciwiający, lecz każdy, co pogwałcił ustawę i był za to karany: a więc, kłusownikiem według proj. ust. jest np., ten, kto, mimo wykupienia we właśc. czasie karty myśliwskiej, nie posiadał jej przypadkowo, przy sobie i kto za to był trzykrotnie karany; kłusownikiem, wedł. pr. ust., może być także nazwany ten, kto kupuje zwierzynę w czasie zabronionym, bo, jak i w poprzednim wypadku, pogwałcił tem ustawę i mógł na zasadzie § 75 (w poprzednim—§ 74) litery e) trzykrotnie karany; — kto kupuje pod jakąkolwiekbądź formą zwierzynę pożyteczną w czasie ochronnym, — a więc każdy gość restauracyjny, smakosz z wybrednym języczkiem, któremu zdarzy się ten „niemiły" „przypadek" (nie trzymam strony tego łakomcy), że go „przydybią trzykrotnie na jedzeniu kuropatwy, bażanta, czy innej zakazanej potrawy, każdy taki klijent, czy tam konsument, uważany jest z a z a w o d o w e g o k ł u s o w n i k a, choćby n a w e t w l e s i e w ż y c i u s w o j e m n i e był, pół dnia skrobał piórem przy biurku, a drugie pół spędzał w kabarecie, kinie, restauracji, czy tam używał innych wielkomiejskich rozrywek!!

I t. d. i t. d.

Takie określenie zawodowego kłusownika jest rażąco sprzeczne z powszechnie i słusznie przyjętem pojęciem tego wyrazu.

N i e s ą d z ę, a b y i n t e n c j ą a u t o r ó w b y ł o n a d a w a n i e z u p e ł n i e n o w e g o p o j ę c i a d a w n o i s t n i e j ą c y m w y r a z o m.

P r z y p u s z c z a m r a c z e j, ż e j e s t t o d r o b n e p r z e o c z e n i e t y l k o, albo... albo ja fałszywie rozumuję. Dlatego też ośmielam się uprzejmie prosić Sz. Pana o łaskawe krótkie wyjaśnienie tego „nieporozumiania" i pozostaję z szacunkiem

Jerzy Jakubowski.

Odpowiedzi od Redakcji.

P. Jerzy Jakubowski. (Warszawa). Redakcja „Przeglądu Myśliwskiego" najzupełniej zgadza się z Sz. Panem: § 78 projektu w obecnem brzmieniu powinien być bezwarunkowo zmieniony.

Projekt ustawy łowieckiej opracowany został przez Polskie Towarzystwo Łowieckie.

Redakcja nasza otworzyła nad nim dyskusję w celu krytycznego omówienia różnych braków, a następnie skierowania całego materjału dyskusyjnego do Polskiego Towarzystwa Łowieckiego.

Redakcja zabierze głos w sprawie „Ustawy" dopiero po ukończeniu dyskusji.

P. Jan Dunin Borkowski, viceprezydent miasta Równo.

Z całego serca dziękujemy za życzenia. „Przegląd Myśliwski" wychodzić będzie co dwa tygodnie. Dążymy do stworzenia z czasem ilustrowanego pisma.

Uprzejmie prosimy o zasilanie swoim cennem współpracownictwem naszego pisma. Może posiada Pan jakieś wspomnienia myśliwskie lub artykuły w sprawach bieżących z dziedziny łowiectwa. Prosilibyśmy zwłaszcza o dane dotyczące zwierzostanu w okolicach m. Równa.

P. Jan hr. Merstin. (Bieganów. Ziemia Kielecka). Dziękujemy za świetny artykuł, który pomieszczamy w niniejszym numerze. Wina, o której pan hrabia wspomina, obciąża raczej nasze stowarzyszenia łowieckie niż Rząd. Nie może tu być mowy o złej woli wyższych władz.

Znakomity artykuł Pana hrabiego mamy nadzieję, że zainteresuje sfery rządowe i przyczyni się do wyjaśnienia sytuacji. Prosimy o dalszą tak cenną dla nas współpracę.

P. Jan Stefan Wydżga. (Związek Ziemian. Oddział Hrubieszowski w Hrubieszowie.

Dziękujemy za list. Uprzejmie prosimy o współpracę w „Przeglądzie Myśliwskim" w działach,. mówiących o ochronie zwierzyny, o psach i broni. Chętnie drukować będziemy również wspomnienia myśliwskie. Prosimy zwłaszcza o artykuł informacyjny o zwierzostanie w ziemi Hrubieszowskiej.

Honorarjum — po 300 mk. od wiersza.

P. Juljusz T-ski. (Pomorze).

Strzałowe, czyli wynagrodzenie strzelców za zabicie drapieżników obliczało się przed wojną według następującej skali:

Lis stary	3 rb.	
„ młody	1 „	
Borsuk stary	—	75 kop.
„ młody	—	50 „
Kuna	2 „	
Tchórz	1 „	
Łasica	— „	30 „
Kot włóczęga	— „	50 „
Pies włóczęga		40 „
Orzeł	3 „	—
Jastrząb	— „	25 — 50 kop.
Bocian	— „	30 kop.
Kruk	— „	20 „
Sroka	— „	10 „
Wrona	— „	10 „
Sójka	— „	10 „
Wiewiórka	— „	15 „

Trudno jest przy dzisiejszym spadku waluty określić stałe „strzałowe" od zabicia drapieżnika. Jeżeli jednak strzelec czy gajowy otrzymuje ładunki do broni, możnaby stworzyć przybliżoną skalę, licząc za przedwojenne 10 kop. po 1000 mk.